

O dwunastu miesiącach

Janina Porazińska

Była w chacie gospodyni. Miała córkę i miała pasierbicę. Pasierbica była dobra, a córka była dokuczliwa. Pasierbica zawsze miała główkę gładko przyczesaną, liczko umyte, sukienkę, choć biedniutką, ale czystą. Córka była roztargana, często nieumyta, a jak jej się spódniczka ubłociła, to w takiej szargulicy wciąż chodziła.

Ludzie na pasierbicę mówili: ładniuszka; na córkę mówili: brzyduliha.

Więc macocha pasierbicy strasznie nie lubiła.

Tak umyśliła sobie:

„Pozbędę się jej, do lasu ją wyślę, niech ta gdzie w boru uśmiertnie”.

Nadszedł grudzień. Spadły śniegi i przyszedł mróz, a srogie wichury-dujawice po polach pędziły i tumanami śniegu migotały.

Raz co się dzieje...

Woła macocha pasierbicę i mówi:

– Idź mi zarutko w las i nazbieraj fiołków. Jak ich nie nazbierasz, to się tu nie pokazuj, bo cię do izby nie wpuszczę.

Hej świecie, świecie!... A gdzież tu w tym kopnym śniegu kwiatków szukać! Aż się biedna sierotka za główkę chwyciła, aż się o ścianę sparała, bo z żalości na nogach ustać nie mogła.

– A kajdziesz ja tera skoroś zimy fiołki najdę?

– Szukaj se, kędy chcesz, a ja swojej woli nie odmienię. Abo dziś do wieczora fiołki przyniesiesz, albo się nie pokazuj w chałupie!

Rzuciła sierocie do sieni koszyk i izbę na skobel zawarła.

Ha, cóż było robić. Zaodziała się dziewczyna chuścina, na bosa nogi wzięła chodaki i poszła w las.

Najciężej było iść otwartym polem, bo wiatr tu hulał, szarpał i w oczy śniegiem uciskał – ale w lesie już było przyciszej.

Chojary w górze szumiały i krakały wrony, a na jałowcach, jak czerwone płomyki, uwijały się szczygły i gile. Jałowcowe owocki objadały.

Idzie dziewczyna i idzie lasem, a wcale nie rozumie, gdzie tu można fiołki znaleźć. Nawet o wiośnie ich tu nie widziała. Ale że w lesie nie tak dokuczliwie jak w polu – to i brnie od sosny do sosny.

„Pewnie zginę albo z mrozu, albo z głodu, albo od wilków. A może i zajdę kaj do dobrych ludzi?”

Ano tak myśli trójsmutkiem i jedną pociechą i idzie.

Dobry kawał już lasem uszła, aż tu widzi – ogień się pali, a dookoła ognia dwunastu chłopów siedzi.

„A może to zbójcy? Iść tam? Nie iść?”

Ale pośmiałkowała się i ku siedzącym idzie. A jak podeszła bliżej – rozeznała, kto to.

Rzekła dobre słowo – odpowiedzieli jej i pytają:

– Który też z nas najbardziej ci się podoba?

A sierotka śmiało:

– Wszyscyście piękni, boście wszyscy potrzebni.

Spojrzeli bracia po sobie, spodobała im się taka grzeczna mowa. Aż pytają:

– Po coś tu przyszła dziewczynko?

– Macocha kazała mi fiołków nazbierać, ale kaj ich ta zimą szukać!

– E, nie trapże się, może i znajdziesz.

Usiadł Kwiecień na miejscu Grudnia. Zaraz śnieg zaczął topnieć, aż się porobiły rozcieki, ale te i od razu w grunt wsiąkły. Co bliskie jarzębiny, brzozy i leszczyny pokryły się listkami, zazieleniły się jagodowe, borówkowe krzaczki, a ptaszęta zaczęły po wiosennemu śpiewać. Z głębi lasu przywiał dech świeży, słońcem nagrany, kwitnącą czeremchą pachnący.

– Idźże, sierotko, za tę pierwszą sosnę, fiołków poszukaj.

Idzie dziewczyna, patrzy... a tam aż modro od kwiecia!

Przypadła na kolana, rwie, rwie...pół koszyka narwała. Przykryła je mchem, żeby nie zmarzły. I wróciła do ogniska Kwietniowi podziękować.

– Idźże w spokoju do domu. A jak będziesz znów w potrzebie, przybieżaj do nas.

Biegnie sierotka do domu, a nadziwić się nie może i temu, że się tak w oczymgnienu wiosna zrobiła i fiołki wyrosły, a i temu, że wcale teraz zimna nie czuje. Wiatr tak samo dmie, śnieg tak samo nad ziemią hula, a do niej to jakoś nie dochodzi, właśnie jakby jeno za szybką na świat zimowy patrzyła. A droga jakoś zrobiła się niedługa. Już i brzeg lasu, już i koniec pola, już i chata, z której rano wyszła.

Usłyszała macocha, że dziewczyna wchodzi do sieni, tak wyszła z izby i woła:

– Jeśli nie masz fiołków, to wynocha!

– Mam, mam, patrzcie jeno! – woła dziewczynka z radością i stawia koszyk na stole.

Przyskoczyła do koszyka matka i córka.

Odgarniają mech – a tu w izbie zapachniało jak w ogrodzie wiosną! Wytrząsnęły koszyk – a tu na stole cały kopczyk świeżutkich kwiatów!

– Sprawiedliwie... fiołki prawdziwe – mamrocze macocha i pojąć nie może, gdzie je pasierbica znalazła. – W lesie były?

– W lesie.

Minęły trzy dni, mróz jeszcze bardziej się nasilił, wichry jeszcze się bardziej rozsrożyły – a macocha myśli:

„Za pierwszym razem nie udało się, może za drugim się uda”.

I woła do sieroty:

– Biegaj mi zaraz w las i nazbieraj tam poziomek. I to ci przykazuję: coby były piękne, coby były dojrzałe. A jak ich nie najdziesz, to nie wracaj!

Znów się dziewczyna okręciła swą podartą chuścina, wzięła na boscie nogi chodaki i poszła. Myśli sobie:

„Pójdę do Miesiący, może mnie i teraz poratują. Ale czy to do nich dojdę? E, musi nie, musi jeszcze przed borem zamarzną”.

Idzie, idzie... wichry ją szarpią, mróz na wylot ją przejmuję. Każda kosteczka w niej z zimna się trzęsie. Ale jakos do lasu doszła, do dwunastu braci dobrnęła.

Powitała ich, odpowiedzieli.

I Grudzień mówi:

– To ty, dziewczynko? Cóż teraz chciałabyś mieć?

Wstydzi się sierotka swej zuchwałości, ale cóż ma począć! Więc nieśmiało szepce:

– Poziomek bym chciała... pięknych, dojrzałych...

– To się zrobi... to się zrobi... – Mówi Grudzień.

Dźwignął się ze swego siedziska, a na jego miejsce przyszedł młody Czerwiec.

I raz-dwa-trzy... dookoła śnieg stają, drzewa zazieleniły się, głógowe krzaki stanęły w różowym kwieciu, a ptaszki-świergolaszki napełniły las taką muzyką, że od ich nutek aż liście drżały, aż chwiały się gałązki.

– Idźże, sierotko, za tę sosnę, poszukaj.

Idzie dziewczyna, a na polanie za sosną aż czerwono od poziomek! Jakby tu kto cały wór koralików rozsypał!

Dopieroż zaczęła zbierać a do dzbanka sypać! A tak jej ta robota szybko szła, że nie do pojęcia! Już połowa dzbanka, już po szyjkę, już pełniutki z czubem!

Zerwała liść paproci, dzbanek nakryła, wilczym łykiem okręciła i z wielką radością poszła Czerwcowi podziękować.

– Idźże, sierotko, spokojnie do domu. A jak będziesz czego potrzebowała, to przyjdź tu do nas.

Idzie dziewczyna do domu i, tak jak za pierwszym razem, wcale jej nie zimno i dzbanek nie cięży, i droga niedaleka.

Ani się zmiarkowała, gdy już chatę przed sobą zobaczyła.

Usłyszała macocha, że dziewczyna wchodzi do sieni, tak wyszła z izby i woła:

– Jeśli nie masz poziomek...

Nie dokończyła, bo juścić poziomki są – w sieni pachnie jak na polance leśnej, gdy ja czerwcowe słońce dogrzeje. Wnet też i cała izba poziomkową wonią się napełniła.

Postawiła sierota dzbanek na stole, paprociowe liście zdjęła, a tam poziomki jedna w jedną duże jak wiśnie, a dojrzałe, aż sok się z nich rosą wytacza.

Idą ludzie drogą, zatrzymują się i wołają:

– Darosławo, a co to też w waszej zagrodzie tak pachnie?

Nie chce gospodyni, aby ludzie poziomki zobaczyli, tak je co prędzej do komory wynosi, a ludziom mówi:

– Miałam ta co nieco suchych poziomkowych liści. Spaliłam je, to z tego pachizna się z dymem rozeszła.

Na wieczerzę matka z córką poziomki zjadły, sierocie nic nie dały.

Znów minęło kilka dni.

Gospodyni myśli:

„Głupia byłam, że chciałam fiołków, że chciałam poziomek. Kwiatki zwiędły i nie ma nic; poziomki się zjadło i nie ma nic. Tera każę sierocie przynieść z lasu talarów. Gospodarkę se powiększę, odziewku świątelnego dla nas obu nakupię!

Więc mówi do sieroty:

– Leć mi do lasu i przynieś talarów. Coby były ciężkie, ze szczerego srebra. Jak ich nie najdziesz, to się tu nie pokazuj!

Zabrała się sierota i znów idzie, i znów przed braćmi Miesiącami staje.

– Talarów kazali macocha przynieść. Coby były ze szczerego srebra.

Podumał Grudzień, aż mówi:

– Przychyl się i weź sobie węgielków z ogniska.

Nie śmie dziewczyna odmówić, ale strasznie się boi, że jej te węgielki dziurę w zapasce wypalą i macocha ją za to ukarze. A jakżeż przyjdzie z węglami, skoro miała talarów przynieść!... To może lepiej nic nie brać i do chaty nie wracać...

Widzi grudzień, że dziewczyna waguje, tak powiada:

Nie bój się, nabierz węgielków. A jak jeszcze macocha cię wyśle, to już do niej nie wracaj, u nas ostań. W naszej zagrodzie będziesz mieszkała, gospodarkę nam będziesz prowadziła.

Dziewczyna kupkę węgielków czerwonych, żarzących nabrała, podziękowała i wraca. A wciąż się strasznie boi, że jej się dziura w zapasce wypali.

Weszła do sieni, a macocha woła:

– Masz talary?! Siła ich masz?!

Nie śmie sierotka o tych węgielkach powiedzieć – boi się. Milczkiem do nalepy podchodzi, a serce w niej mdleje ze strachu.

Wytrzyma z zapaski...

A tu brzdęk, brzdęk, brzdęk... srebrne talary na nalepę lecą i dźwięczą, i błyszczą, aż w całej izbie pojaśniało.

Rzuciła się macocha z córką! Talary zagarniają, oglądają, liczą...

Ten i ten na przykupek gruntu. Ten na krowę, na woły. Ten na prosiaki, gęsi, kury. Ten i ten na odziewek, na buty... A za co korale i bursztyny? A za co jedwabne czepce? Za co pierzyny, poduchy, kilimki?

I na sierotę obie:

– Tyleś jeno przyniosła! A kaj masz więcej? Musi kajniebądź pod śniegiem utaiła dla siebie! Leć zaraz i wszystkie przynieś!

Zaodziała się sierota w swą starą chuścinę i poszła w las, i więcej nie wróciła. Do dwunastu braci Miesiący na służbę przystała.

Czeka macocha do późnej nocy. Czeka cały ranek, cały dzień i znów cały wieczór.

Pasierbicy nie widać.

Tak-ci powiada do swojej córki:

– Nie wiadomo, co się stało z pasierbicą, może w polu zamarzła na śmierć. To tera ty pójdiesz.

– Matko, chcecie, cobym i ja przepadła?

– Nie bądź głupia! Tamta co na sobie miała? Letniczkową sukienkę i chuścinę. A ciebie zaodzieję w wełniak, w kozuch, w buty po kolana. Nie bój się, ani poczujesz zimna. A talarów przyniesiesz. Potrafiła tamta, potrafisz i ty.

– Przecie! Potrafię. Jeszcze więcej przyniosę.

Matka córkę ciepłuśko ubrała i jeszcze ją zababuliła w ogromną wełnianą chustę.

– Weźże na talary w jedna rękę torbę, w drugą garnek, a na plecy jeszcze woreczek. No, nadźwigasz się, ale idź se powolutku, odpoczywaj. A tu naści Kukiełkę z masłem i z miodem.

Poszła córka.

A dzień był niezgorszy. Ściepliło się. Wiatr ustał, słońce mgławo świeciło, polatywał śnieżek drobniutki i suchy.

Przeszła córka pole, weszła w las. Ciepło jej, wesoło. Idzie a rozgląda się dookoła, gdzie to te talary leżą.

O, coś tam się w lesie jarzy, migocel!...

Biegnie dziewczyna, aż się o małe świerczki śniegiem przysypane potyka i przewraca! Przybiegła! Patrzy, a to ognisko się żarzy, a dookoła ognia dwunastu braci siedzi

Poznała, że to bracia Miesiączkowie. Ale wielce była rozgniewana, że się tak tym ogniem oszukała. Myślała, że to talary świecą, a tu ot co!

– Dzień dobry, dziewczynko! A może nam powiesz, kto my jesteśmy?!

– Zawołał wesoło Grudzień.

A córka ze złością:

– Ten tu Marzec – kłapie wargą jak starzec. A ten Maj – tylko mu kij żebraczy daj. A ten Luty – Ma koślawe buty. Stary Grudzień – największy leń!...

I tak długo jeszcze urażliwie Miesiączkom przygadywała. Aż się bracia rozgniewali.

Podniósł się Grudzień, a na jego miejsce usiadł Luty.

I dopiero jak nie zacznie się sroga zima!

Mróz ścisnął nagle taki, że aż drzewa zaczęły hukać.

Podniósł się wichher, pochwycił tumany śniegu i rozhukał się zamięcią.

Myśli córka:

„Trzeba mi do domu uciekać!”

Ale drogi powrotnej wcale znaleźć nie może. To w tę stronę biegnie, to w tamtą. Ognisko z oczu straciła. A tu bór coraz gęściejszy, a tu mróz coraz okrutniejszy, a tu zaspasy coraz większe. Brnie już po kolana, siły traci, senność ją ogarnia...

Aż i umarzała na śmierć.